

Księga wyjścia – 63

16 października 2020

Ballada bez radości

Gdyby w końcu znudzę Was pisanem o perturbacjach literackich, których ostatnio nie szczędzę, to napiszcie w komentarzu „dość” a będę wiedział o co chodzi i przestanę zanudzać. Przeszliśmy chyba wspólnie cały cykl. Od początku opisywałem proces wydawniczy, pierwsze targi, potknięcia, opóźnienie, wpadki edytorskie itp. Ponieważ wciąż jeszcze jest w przedsprzedaży, czyli można ją kupić jedynie bezpośrednio u mnie lub w wydawnictwie – Faktoria, nadal borykam się z wieloma problemami. W zasadzie wszystkimi problemami jakie może mieć autor, próbujący wejść na rynek sprzedawca itp. Na całe szczęście od samego początku bardzo mnie wspiera i pomaga jedna z blogerek literackich Góralka Czyta.pl – czyli Iwona.



Wspomniałem wcześniej, w którymś z poprzednich felietonów, że cały dochód zamierzamy przeznaczyć na jakiś dobry punkt w stolicy. Tym, którzy tego nie czytali przypomnę, jak to wygląda. Żeby wystawić książkę w modnym EMPIK-u, trzeba zapłacić 20 tysięcy, tyle kosztuje jedna półka w jednym

punkcie, zaczęliśmy więc szukać innych dystrybutorów, księgarni czy saloników prasowych. Głównie w modnych stołecznych galeriach, gdzie przypadkiem może trafić w ręce ludzi, do których najbardziej chciałbym dotrzeć, czyli klasy średniej przekonanej, że hahljajf jest wieczny. Książka jest opisem upadku z tego właśnie stanu nieświadomego dobrobytu.

Chcę im pokazać, że to dno, którego na co dzień nie widzą, które wcale nie jest tak odległe. Żebyście mnie źle nie zrozumieli, nie traktuję tego jako misję, zwyczajnie dzielę się własnym doświadczeniem i tym, czego sam doświadczyłem. Oł, nadałem literacką formę faktom, zmieniając jedynie imiona i niektóre szczegóły, które mogłyby zdemaskować opisywanych przeze mnie towarzyszy w upadku i wykluczeniu.

Zanim jednak skończyłem ją pisać przestało mieć to znaczenie, ponieważ prawie wszyscy zmarli, lub zostali zabici. Nie zmieniałem natomiast imion ludzi, którzy pomogli mi się z tego wygrzebać. Tylko tyle jest tam z fikcji, cała reszta reszta to zapamiętane i opisane fakty widziane z mojej perspektywy. Mimo, że nie czuję żadnej misji naprawy świata, to zależy mi by przeczytali ją ci, którzy sądzą, że im się nic takiego nie przytrafi.

Być może to tylko moja przekora chce utrzyć zadarte nosy pseudocelebrytom i ich wielbicielom z klasy średniej za pogardę, którą mi wówczas okazywali, a może po ludzku coś mi każe ich wszystkich przestrzec. Choć tak naprawdę chyba najbardziej zależy mi na tym, by społeczeństwo inaczej spojrzało na bezdomnych, żeby ludzie nie odwracali wzroku od ludzi nazywanych pogardliwie „żułami”, „nurkami” czy „menelami” i dostrzegli żywego człowieka skrytego pod skorupą brudu – bo nie zawsze wygląda to tak, jak w przyjętej powszechnej opinii – sam sobie winien.

Nie będę zdradzał najistotniejszych szczegółów, chociaż te bezpieczne fragmenty już zamieszczałem. Mam cichą nadzieję, że może ktoś z dna nie doświadczy poniżenia i pogardy od kogoś,

kto przeczyta i zrozumie przekaz. Żeby skończyć ten wątek to jeszcze dopiszę, że czytając poznacie smak jedzenia ze śmietnika, ludzi dzielących ze mną ten los, wspólne grzebaliśmy w kontenerach w poszukiwaniu kromki spleśniałego chleba podpitego później denaturatem. Ludzie z którymi tam byłem, wcześniej wiedli normalne, a niektórzy nawet zamożne życie. Jeden z nich ukończył trzy fakultety, jeden był prezesem jakiejś spółdzielni mieszkaniowej, był też żołnierz zawodowy, marynarz i dwóch bez większego dorobku zawodowego. Czyli pełny przekrój społeczny. W zasadzie tytuł powinien brzmieć smak pleśni na chlebie popitym denaturatem. Ale pomyślałem, że nie jest to zbyt dobry pomysł marketingowy.

Przed sprzedaż idzie całkiem dobrze, co jest bardzo miłe. Niemal każdego dnia chodzę na pocztę i rozsyłam książki po świecie. Tak, zamówienia pojawiły się z całej Europy. To jedna z przyjemniejszych czynności, a gdy wracają opinie czytelników, to już rewelacja. Nie zawsze jest jednak słodko. Istnieje coś takiego, o czym nie miałem pojęcia, czyli literacki hejt. To perfidny sposób, który wydaje się być powszechnie stosowany żeby zniszczyć innego autora.

Wyjaśnię pokrótce na czym to polega. W Internecie działa najbardziej opiniotwórczy portal literacki w Polsce czyli – [Lubimy Czytać.pl](http://LubimyCzytac.pl). Jest on wyznacznikiem jakości, popularności czy aktualnych trendów. Większość autorów zamieszcza tam swoje utwory wystawiając je pod ocenę czytelników. Bywa różna. Nikt się nie patyczkuje, szmirę nazywa szmirą i to uzasadnia. Można też ocenić anonimowo bez uzasadnienia stawiając jedynie gwiazdki – a to pole dla hejterów. Maksymalna ocena to dziesięć punktów, minimalna jeden lub brak. Po dwudniowym sporze, a nawet kłótni na „Facebooku” dotyczącej rocznicy dotarcia Kolumba do brzegów Ameryki. Kłótnia przerodziła się w personalne wyzwiska i awanturę, by przejść do deprecjonowania mojego dorobku literackiego.

Odetchnąłem gdy to szaleństwo ustało. Jakież było moje zdziwienie, gdy następnego ranka wszystkie moje książki miały

maksymalnie zaniżone ogólne oceny. Ktoś anonimowo hurtem pododawał jedynek do wszystkich zamieszczonych tam książek. Tam gdzie była jedna czy dwie oceny, a trudno o więcej opinii książki, która w ubiegłym miesiącu wyszła z drukarni, z maksymalnych dziesięciu punktów które przyznała jedna z czytelniczek, zostało 5,5. W poprzedniej aż tak mocno nie zaniżyło. Książka wydana trzy lata temu, więc uzbierała już całkiem dużo wysokich i najwyższych ocen, więc tutaj ta jedynka wielkiej szkody nie zrobiła. Oczywiście bez żadnej opinii uzasadnienia czy nazwiska.

Zgłosiłem oczywiście do administracji portalu, nie wiem czy zgłoszenie przyjmie prokuratura, bo straty mogą być wymierne. Zarówno moje, jak i wydawnictwa. Będę drażył zobaczymy co z tego wyjdzie.

Ten świat wysokich lotów i literatury, który wydawałby się jądrem kultury, okazał się totalnym Szambem.

Doskonale znam za to przepis na bestseller i chociaż z niego nie skorzystałem, to widząc co się dzieje może zamienię ideały na pieniądze i częste zaproszenia do telewizji śniadaniowych. Sam nie skorzystałem, chciałem przekazać wspomniane wcześniej treści. No i mam. A mogło być tak pięknie – jakby powiedział Maksio z „Seksmisji” „wywiady, autografy, wizyty w zakładach pracy”. Stosując się do przepisu, sukces murowany co udowodniła pewna Blanka, która przeszczepiła na polski rynek „50 twarzy Greya”.

Jestem niemal pewien, że większość spotkanych na ulicy ludzi, słysząc nazwisko Gray, w wyobraźni widzi książkę z błyszczącą męską klatką piersiową rozpiętą koszulę i przekrzywiony krawat no i tytuł ile ten ktoś ma twarzach.

Są jeszcze jednak ludzie – którzy na hasło Gray przechodzą następujący proces myślowy – Gray? Dorian Gray, „Portret Doriana Graya”, autor Oscar Wilde! Genialna książka – myślą i przypominają sobie jej mroczne, fantastyczne i erudycyjnie

genialne fragmenty, a gdy dowiadują się, że chodzi o erotyczną szmirę, to zmieniają temat. Jestem przekonany, że bestsellerowa telewizyjnosniadaniowa gwiazda nieliteracka, autorka klona wspomnianej szmiry Blanka czy Bianka (nie mylić z Bianką Kunicką Chudzikowską, która jest wybitną polską poetką i pisarką) nie wie kim był Dorian Gray, a jeśli słyszała o książce Wide'a, to jej nie czytała.

Jeśli się mylę to z góry przepraszam – ale wątpię.

Gdyby swoje kariery literackie zaczynali teraz tacy autorzy jak Stachura, Hłasko, Redlinski, Pilch czy Głowacki, myśle że zniknęliby w otchłani infantylnych czytanek dla dorosłych.

Pamiętam jak dorastałem w czasach PRL, mieszkaliśmy w bloku. Na bardzo mieszanym osiedlu. Mieszkali tam nauczyciele pobliskiej podstawówki, pracownicy naukowci nieodległego instytutu naukowego, robotnicy z żelatyny, zakładów azotowych, małżeństwo lekarzy, wojskowi, policjanci, sprzątaczkę, hydraulicy, konserwatorzy. I mimo tak różnych profesji ludzie ci potrafili ze sobą rozmawiać, był nawet stół do ping ponga w specjalnie zrobionym pomieszczeniu w jednym z bloków. Prawie wszyscy tam chodzili i wszyscy ze sobą rozmawiali.

Dyskusje były zażarte, niezależnie czy lekarz z robotnikiem, czy hydraulik z naukowcem. Dotyczyły wszystkiego, wiadomo, że nikt nie pouczał hydraulika jak założyć instalację, ani lekarza jak leczyć cukrzyce czy podagrę. Były inne tematy, było ich pod dostatkiem, bo sąsiedzi też w tej sali do ping ponga wymieniali się książkami. Wiecznie je sobie pożyczali i potem zwykle o nich rozmawiano. Wiedza ogólna przeciętnego człowieka była na takim poziomie, że pewnie teraz tamta sprzątaczkę, czy tamten hydraulik, bez problemu napisaliby wnukom prace licencjacką.

A teraz uwaga, będzie przepis jak zostać milionerem. Niemalże identycznie jak obecnie w Polsce, wyglądało to sześćdziesiąt lat temu w USA. Kilkudziesięciu dziennikarzy postanowiło sobie

zakpić z rynku wydawniczego. Jakoś tak w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych. Przerażeni tępotą społeczeństwa i koszmarnym poziomem czytelnictwa, dwudziestu czterech dziennikarzy postanowiło napisać najgorszą powieść na świecie, ale według przepisu. Każdy napisał po rozdziale, nie wiem czy to potem wymieszali czy nie, podpisali zmyślnym damskim imieniem i nazwiskiem – Penelope jakaś tam chyba Asch, okładka podobna do tej o twarzach Greya, tylko w damskiej wersji, czyli fragment nagiego ramienia, talii, biodra i tytuł: „Nago przyszedł obcy”.

Książka zrobiła furorę, mimo, że nie było tam ładu, składu, sensu, ani ciągłości, momentalnie wystrzeliła na szczyt bestsellerów. Wszystkie stacje telewizyjne zabijały się, by zaprosić do siebie autorkę czyli tą Penelopę, której już dorobiono historię genialnej gospodyni domowej. Jednak ta wyimaginowana autorka przez podstawionego agenta odrzucała zaproszenia, a rozbawieni i przerażeni – to się nie wyklucza – dziennikarze obserwowali co będzie się działo.

Do tego ich pozorowanego agenta zgłaszali się kolejni, żądni zysku wydawcy i to z całego świata. Została więc też przetłumaczona na kilka języków. W końcu autorzy nie wytrzymali i ujawnili prawdę. Wystąpili wspólnie we wszystkich telewizjach, powiedzieli, że to najgorsze co mogli napisać, że zrobili to celowo licząc, że przerwą ten sen wariata. I wiecie, że sprzedaż wcale nie spadła.

Zamiast się wznosić w przestworza, aż do granic galaktyki, to współczesne książki szybują na poziomie elektrycznej hulajnogi bez kół. Alternatywnie miały być wysokie loty szybowcem w obłokach wrażeń i wyobraźni, a siedzimy w poduszkowcu na pokrytym oparami bagnie. Smutne. Ale prawdziwe.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info